LOKALNIE · OPINIA

PATRIOTYZM TO NIE PUTINIZM

Kacper Kita · 23 marca 2022



Rosyjska inwazja na Ukrainę sprawiła, że polska debata publiczna stała się „putinocentryczna". Każda strona sporu oskarża przeciwników o bycie ukrytym sojusznikiem Kremla. Dlaczego liberalno-lewicowe elity uważają, że polscy patrioci, katolicy czy obrońcy państwa narodowego wyznają te same wartości, co Władimir Putin i są z nim w jednym obozie? Jak odnaleźć się na tej nowej mapie ideowo-politycznej?

Kto jest Putinem?

Rosyjska inwazja na Ukrainę przyniosła, co zrozumiałe, wzmożenie emocjonalne. Szybko wybuchła licytacja na zestawianie przeciwników politycznych z Władimirem Putinem. Oskarżenie o bycie pożytecznym idiotą albo i przyjacielem prezydenta Rosji usłyszał już chyba prawie każdy polityk i komentator od prawa do lewa. Kilka dni temu „prorosyjski" okazał się w oczach niektórych Ośrodek Studiów Wschodnich, instytucja od dekad nastawiona na wspieranie demokratyczno-liberalnych przemian na obszarze byłego ZSRR. „Rosyjską agenturą" został obwołany przez rzecznika PO posła Jana Grabca nawet profesor Andrzej Nowak – wybitny historyk personifikujący od wielu lat bezkompromisowy antyputinizm i antyrosyjskość części intelektualnego zaplecza obozu rządzącego.

CZYTAJ TAKŻE: Władimir Putin nie zwariował. Czemu zaczął wojnę?

Wojenny entuzjazm, strach i histeria nie sprzyjają racjonalnej analizie. Tym bardziej, gdy nie mamy jesz-

cze pojęcia, jak właściwie zakończy się konflikt. Czy Ukraina utrzyma niepodległość? Czy Rosja powiększy swój terytorialny stan posiadania? Nie możemy wykluczyć ani szybkiego zakończenia wojny, ani przeciągania się jej przez kolejne miesiące, albo i lata. Nie możemy wykluczyć upadku rządu w Kijowie ani przewrotu pałacowego na Kremlu. Oczywiście najbardziej prawdopodobne są jak zwykle te najmniej widowiskowe scenariusze. Nie powinniśmy ulegać ani rozpaczy, ani hurraoptymizmowi, niezależnie od kolejnych doniesień ze wschodu. Powinniśmy starać się na spokojnie zastanawiać, co możemy zrobić, żeby realizować interes narodowy Polski w zmieniających się okolicznościach oraz żeby spełniać chrześcijański obowiązek pomocy potrzebującym bliźnim.

Od samego początku wojny widzimy w zachodnich mediach głównego nurtu przedstawienie wojny jako kolejnego elementu manichejskiego starcia między Dobrem a Złem. Dobrem jest nowy wspaniały świat realizowany przez „europejskie, zachodnie" wartości demoliberalne i oświecone elity. Złem jest stary, okrutny świat przeszłości reprezentowany przez Putina. Nie ma żadnej przestrzeni pomiędzy – trzeba albo w pełni należeć do świata „europejskich wartości", albo w pełni należeć do świata rosyjskich zbrodni wojennych.

Niezaprzeczalny przywódca polskiej demoliberalnej opozycji Donald Tusk napisał: „Jeśli podważasz jedność Europy i promujesz nacjonalizm, jesteś sojusznikiem Putina. Jeśli atakujesz praworządność, wolność mediów i prawa człowieka w swoim kraju, jesteś Putinem". „Atakowaniem" tak abstrakcyjnych bytów, jak „praworządność" czy kolejne n-te generacje praw człowieka, jest w praktyce jakiekolwiek podważanie dogmatów demokracji liberalnej. Podważanie dominacji „funkcjonalnej arystokracji demokracji liberalnej" – znakomite określenie Dariusza Karłowicza – w świecie polityki, finansów, mediów, sądownictwa, szkolnictwa. Oświeconych salonów, które definiują wedle uznania „praworządność" i „prawa człowieka" tak, by uderzać w polityków spoza swojego środowiska. Jednocześnie traktując je jak obiektywne, dane z Góry dogmaty religii.

Widzimy to na przykładzie kolejnych wyroków Trybunału Sprawiedliwości UE uderzających w Polskę nie na podstawie realnych traktatów czy prawnych zobowiązań, ale owych abstrakcyjnych, parareligijnych norm, które definiują arbitralnie demoliberalni kapłani. Dotąd arbitralnie nakładano na Polskę kary finansowe. Teraz równie arbitralnie chce się stwierdzać, kto „jest Putinem" – choćby w życiu z Putinem żadnych interesów nie robił.

Próbuje się w ten sposób wmanewrować polskich patriotów przywiązanych do państwa narodowego, chrześcijaństwa czy rodziny w sytuację bez wyjścia. Albo my, albo Putin. To dychotomia sztuczna, papierowa. Podobnie jak papierowe są wszystkie kolejne liberalno-lewicowe utopijne wizje nowego, wspaniałego świata, w którym państwo i wojsko nie są potrzebne, bo wszyscy ludzie się kochają. Obecna sytuacja to doskonale pokazuje.

Gdyby Polską rządzili prymusi „postępowego" zwalczania chrześcijaństwa, narodu i suwerenności państwa, wydawalibyśmy dziś 1% PKB na obronność, jak postulował, rozpoczynając swój ruch polityczny Janusz Palikot. Ten niebezpieczny człowiek był w pewnym momencie przywódcą trzeciej siły w Sejmie i był fetowany przez demoliberalne media, celebrytów i najróżniejsze autorytety. Zresztą kilka tygodni temu Palikot znów odgrażał się, że jeszcze wróci, a „partia moja i Kuby Wojewódzkiego" „z miejsca będzie miała 20% poparcia". Postulaty radykalnego obniżenia wydatków na armię stawiali przez lata nawet tak poważni przedstawiciele salonu III RP jak prof. Grzegorz Kołodko.

CZYTAJ TAKŻE: Klęska lub sukces Putina a polska polityka wielowektorowa

Dychotomia „albo my, albo Putin" to współczesne odnowienie powtarzanego od dekad schematu „albo my, albo Hitler". Nie wolno głosować na partie inne niż te zatwierdzone przez establishment, bo grozi to recydywą nazizmu. Niezaprzeczalna zbrodniczość działań przywódcy III Rzeszy nie zmienia absurdalności takiego zero-jedynkowego wyboru. Podobnie jak niezaprzeczalna zbrodniczość obecnych działań Putina (na szczęście mającego nadal wielokrotnie mniej ofiar na sumieniu niż Hitler) nie zmienia absurdalności zero-jedynkowego wyboru między „byciem po stronie Putina" a politycznym, finansowym i kulturowym podporządkowaniem się salonom Brukseli i Berlina.

Dwa ruchy oporu – jak w czasie wojny?

Deklaracje, takie jak ta Tuska, odwołują się tak naprawdę bardziej do emocji niż do rozumu. Masowy odbiorca jest podatny na zero-jedynkowy obraz świata, w którym jest dwóch aktorów – Drużyna Dobra i Drużyna Zła. Podczas gdy polityka nigdy i nigdzie nie jest taka prosta. Tak prosty jest może świat kreskówek czy komiksów, ale nie prawdziwy świat. Na świecie mamy dziesiątki sytuacji, w których A ma dobre relacje z B, a B dobre relacje z C, ale C ma złe relacje z A. Tak naprawdę politycy w Niemczech czy z Europejskiej Partii Ludowej, której szefuje Tusk, oczywiście doskonale o tym wiedzą – to oni przez długie lata prowadzili „pragmatyczny dialog" z Rosją, gdy Polska nie utrzymywała z nią prawie żadnych stosunków.

Oczywiście dziś, gdy staramy się o przetrwanie niepodległej Ukrainy między Polską a Rosją, animozje z Brukselą i Berlinem schodzą na dalszy plan. Warto spróbować przy tej okazji poprawić z nimi relacje. Warto przy tej okazji wykorzystać presję na Berlin i Brukselę do ustępstw w sprawie zablokowanych Polsce środków z Funduszu Odbudowy. Trzeba uzyskać od nich jak największe wsparcie dla ukraińskich uchodźców przebywających w Polsce. Wiele zależy tu od dobrej woli po drugiej stronie.

Postać Hitlera wprowadzam tu jednak świadomie i nieprzypadkowo. Sytuacja naprawdę podobna jest bowiem poniekąd do tej z II wojny światowej. W jednym obozie przeciwników Hitlera na czas wojny znaleźli się ludzie od prawa do lewa, od katolickich konserwatystów przez chadeków, liberałów i socjaldemokratów (wtedy jeszcze te rozróżnienia były realne) po komunistów.

> Sytuację tę znakomicie opisał generał Charles de Gaulle – wówczas przywódca francuskiego rządu i armii na uchodźstwie. „Istniały dwa rodzaje ruchu oporu, między którymi jakakolwiek wspólnota nie jest możliwa po Wyzwoleniu. Po pierwsze, my – opór wobec wroga. Po drugie – opór politykierski, który był antynazistowski, antyfaszystowski, ale w żaden sposób nie był narodowy".

Podobnie jest dzisiaj. We Francji też oba ruchy oporu blisko współpracowały, póki trwała wojna. Dziś nie trzeba się jasno opowiadać – można jednocześnie bronić Ukrainy i bezpieczeństwa Polski oraz „wartości europejskich" w ich lewicowo-liberalnej interpretacji. Widzimy dużo takich dyskusji w mediach społecznościowych. Wiele osób deklaruje, że byłoby gotowych bić się za niepodległość Polski. Ale jest też ileś, dla których „Polska" to abstrakcyjny byt, z którym nie czują się związani, a walczyć chcą ewentualnie za „prawa człowieka" i „Europę". Możemy też spotkać niemało osób, które nawet postawy pro-life na-

zywają „prokremlowską propagandą" (tak jakby Rosja nie była krajem z wyjątkowo wysoką liczbą aborcji).

Podobieństwo jest jeszcze jedno. Gdy Hitler napadł i podporządkował sobie Francję w maju 1940 r., a w strefie nieokupowanej na południu kraju powstało państwo Vichy, francuscy komuniści bynajmniej nie odnosili się do niego wrogo. Hitler był przecież sojusznikiem Stalina zgodnie z paktem Ribbentrop-Mołotow. Dopiero później, gdy III Rzesza dokonała inwazji na ZSRR 22 czerwca 1941 r., komuniści przeszli do opozycji i zaczęli Vichy zwalczać. Z dnia na dzień komuniści ogłosili się najradykalniejszymi wrogami Hitlera, a działaczy innych nurtów ruchu oporu zaczęli oskarżać o kryptofaszyzm.

Oczywiście demoliberalny establishment to nie komuniści dokonujący zwrotu w 1941 r. Emmanuel Macron czy Olaf Scholz zostali przez Władimira Putina oszukani, a nie wciągnięci do świadomej współpracy. Putin wykorzystał naiwność funkcjonujących w swojej utopijnej rzeczywistości polityków, dla których era wojen się skończyła, więc wszystkie problemy na świecie można rozwiązać „dialogiem". Faktem jest jednak, że strategiczne partnerstwo z Rosją było (czas przeszły?) przez ostatnie dwadzieścia lat linią polityczną przewodzących UE Niemiec. Faktem jest, że Putin skorumpował bardzo wielu polityków i wpływowych ludzi demoliberalnego establishmentu w krajach takich jak Niemcy, Francja, Włochy czy Austria. A dziś ci sami ludzie lub ich polityczni sojusznicy nierzadko twierdzą, że europejscy patrioci, obrońcy suwerenności czy chrześcijaństwa „są po stronie Putina", a oni sami są jego najgorszymi wrogami, jego antytezą.

To nie narodowa, tożsamościowa czy suwerennościowa prawica rządziła Europą przez ostatnie kilkadziesiąt lat. Rządzili niepodzielnie przedstawiciele demoliberalnego establishmentu. Sytuacje okazjonalnego wejścia „skrajnej prawicy" do rządów można policzyć na palcach jednej ręki (cztery razy w Austrii, raz we Włoszech). Za każdym razem ugrupowania te były mniejszościowym koalicjantem. Za każdym razem takie koalicje wywoływały histerię mediów. Jedyne dwa przypadki w ostatnich 15 latach kończyły się po kilkunastu miesiącach.

> To nie narodowa, tożsamościowa czy suwerennościowa prawica jest odpowiedzialna za *status quo*. To nie ona uzależniła państwa europejskie od rosyjskich surowców. To nie ona budowała Nord Stream 2. To nie ona decydowała o niewielkich wydatkach na zbrojenia. To nie ona prowadziła politykę opartą na fałszywych założeniach i budowała strategiczne partnerstwo z Rosją.

Sam cytowany wyżej generał de Gaulle też przez całą wojnę słyszał oskarżenia o faszyzm. Dlaczego? Bo był katolikiem, francuskim patriotą i wojskowym zainteresowanym konkretnym, namacalnym wyzwoleniem Francji bardziej niż abstrakcyjną walką o Republikę i prawa człowieka. Faszystą nazywali go zresztą nie tylko skrajni lewicowcy, ale również m.in. Jean Monnet, liberalny ideolog Stanów Zjednoczonych Europy.

> Warto zauważyć wreszcie, że tworząc taką dychotomię, Tusk jest paradoksalnym sojusznikiem prawicowych putinofili. Jedni i drudzy twierdzą, że Putin jest rosyjskim nacjonalistą, którego in-

> teresuje wspieranie podobnych mu Europejczyków. Jedni i drudzy twierdzą, że Putina interesuje globalna walka o obalenie demokracji liberalnej, a nie zdobycze terytorialne dla Rosji.

Tusk podtrzymuje tym samym mit Putina – ideowego obrońcy chrześcijaństwa, narodów i tradycyjnej Europy. Być może robi to świadomie – tak jak świadomie chciał w 2005 r. koalicji PiS-u z LPR i Samoobroną, która miała skompromitować niedoszłego partnera i utorować Platformie drogę do władzy. Tusk może grać na wepchnięcie polskich prawicowców w objęcia Moskwy. Chce wywołać efekt samospełniającej się przepowiedni. Samemu powtarzając, że każdy, kto jest przeciwko Putinowi i jego zbrodniom wojennym, ten musi być za federalną UE pod przewodnictwem Niemiec.

CZYTAJ TAKŻE: Do czego dąży Putin?

Federalna UE na złość Putinowi?

Zwróćmy na koniec uwagę, jak absurdalny to postulat – Polska z obawy przed utratą niepodległości wskutek rosyjskiej napaści ma... wyrzec się niepodległości na rzecz federalnej Unii Europejskiej. W której byłaby podmiotem całkowicie niesamodzielnym, mającym uprawnienia wobec centrali takie same jak pojedyncze województwo ma wobec rządu w Warszawie. Ta ostatnia analogia to nie moja fantazja, ale wpis Tomasza Lisa, jednego z najważniejszych polskich dziennikarzy.

Oczywiście federalna UE nie grozi Polsce masowymi mordami cywili czy zbrodniami wojennymi takimi jak te Putina na Ukrainie. To utrata niepodległości znacznie przyjemniejsza, dokonująca się w zaciszu gabinetów, a nie na polach walki. Polska będąca województwem UE byłaby też na pewno bogatsza niż będąca rosyjskim protektoratem. Życie w niej byłoby wygodne i komfortowe. Opozycjoniści nie byliby w niej mordowani. Czy byłaby też bogatsza niż niepodległa Polska – co do tego można dyskutować.

Warto sobie jednak zadać pytanie, czy na pewno byłaby to Polska bezpieczniejsza od rosyjskiej agresji. Bo to jest podstawowy racjonalny argument zwolenników federalizacji. To z tego powodu minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski mówił w 2011 r., że „boi się niemieckiej bezczynności bardziej niż silnych Niemiec". O tym można dyskutować – to nie są chwyty socjotechniczne o „byciu po stronie Putina" z powodu bycia „transfobem".

Moim zdaniem nie. Po pierwsze, Unia Europejska rządzona przez liberalno-lewicowych technokratów zwalczających używanie zwrotu „Boże Narodzenie" i konsekwentnie odcinających się od chrześcijaństwa jest organizacją aksjologicznie opartą na mieszance utopijnych rojeń, infantylizmu i hedonizmu. Wspieranie atomizacji społecznej, destrukcji stabilnych rodzin i tożsamości narodowych skutkuje obniżeniem chęci i zdolności do zbrojnego oporu wśród Europejczyków. Najbliższe tygodnie i miesiące pokażą, na ile wyrzeczeń materialnych będą gotowi Europejczycy w imię obrony swojego demokratycznego świata przed Putinem. To bardzo ciekawy moment historyczny – chwila prawdy.

Po drugie, to eurokraci w rodzaju szefa unijnej dyplomacji Josepa Borrella do końca przekonywali, że Putin nie zdecyduje się na eskalację, a dialog rozwiąże wszystkie problemy. Osławiony komisarz Frans Timmermans w styczniu deklarował, że Putin grozi Ukrainie, żeby odwrócić uwagę od problemu ochrony klimatu. Po ponad 70 latach pokoju i dobrobytu eurokraci funkcjonują w alternatywnej rzeczywistości. Dla własnego bezpieczeństwa lepiej ich trzymać z dala od decyzji o Polsce.

Po trzecie, federalna Europa oznacza przesunięcie ośrodka decyzyjnego z Warszawy do Berlina i Brukseli. A brutalna prawda jest taka, że im dalej na zachód, tym większa pokusa porozumienia się z Rosją nad głowami tych na wschodzie i tym bardziej abstrakcyjne jest zagrożenie rosyjskim atakiem. Czy wolimy, żeby w sytuacji ataku hybrydowego Białorusi na Polskę, takiego jak w sierpniu, w imieniu Polski występowali Polacy czy Niemcy, Hiszpanie i Holendrzy? Politycy wybrani w wyborach przez Polaków czy unijni urzędnicy – komu będzie bardziej zależało na realnym bezpieczeństwie polskich rodzin? Największą zaletą realnej, nieskrępowanej demokracji na poziomie państwa narodowego jest, że politycy muszą się ze swoich działań rozliczyć przed konkretnymi wyborcami. Dlatego warto się tego modelu trzymać.

fot: wojsko-polskie.pl

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/patriotyzm-to-nie-putinizm/

DOBRA ANALIZA WYMAGA CZASU

Rzetelny tekst to dni pracy: źródła, dane, redakcja. Każda wpłata pozwala nam przygotować kolejny. Nawet niewielka kwota ma znaczenie.

WSPIERAM ANALIZY

wspieram.nlad.pl



Zeskanuj, aby wesprzeć